



665

Wczoraj, które było jutrem...

Zadzwonił Wojtek Młynarski i kazał mi przyjść we wtorek do Teatru Małego na koncert. Propozycja w trybie rozkazującym była nie do odrzucenia. Poszłam.

Lubię chodzić do Teatru Małego. Pracują tam jeszcze ludzie pamiętający jego początki, jego świetność z lat siedemdziesiątych i mają w nim obecność. Możliwość zobaczenia miłych osób, z którymi dzieliłam trudy premier, a potem radości ich sukcesów, należy do wielkich przyjemności. Pani Ania, kasjerka, przywitała mnie serdecznie:

- O! Pani Zosia! Na koncert?

- Tak.

- Ale ja nie mam dla pani zaproszenia!

- Pan Wojtek Młynarski kazał mi przyjść, więc przyszedłam.

- Aha! No to chodzi o miejsca dla honorowych gości, na wiklinowych krzesłach. Wszystko w porządku. Niech pani po prostu wejdzie.

Przed kasą stała długa kolejka młodych ludzi, nie było więc czasu wyśmiać, o jakie honorowe miejsca i wiklinowe krzesła chodzi.

Zeszłam na dół, witając się po drodze z panią bileterką, potem z szatniarką. Gdzieś po drodze przemknął Marek Wojtulanis, oświetleniowiec, z którym uściskaliśmy się i szybko wymieniliśmy informacje pt. „co słycać”.

Pod zamkniętymi jeszcze drzwiami sali stał tłum młodzieży. Wśród nich zobaczyłam ściśniętych w gromadkę Kubę Morgensterna, Wowa Bielickiego, Zosię Komedową, Lucynę Winnicką, Mietka Jahodę, Dudka Dziewońskiego, Gosię Kobielową, Henia Melomana.

Aha! Więc to są przypuszczalnie ci honorowi goście.

- O co tu chodzi?

- Promocja płyty dedykowanej muzyce Komedy do filmu Kubę „Do widzenia do jutra”.

Takie buty! Miłe. A więc znowu powrót do młodości. Wehikuł wyładowany przeszłością nie zatrzyma się już do końca mego życia.

Nieustannie będzie mi kazał odwracać głowę do tyłu i wspominać. Jakoś tak się ostatnio wszystko układa, że ludzie, jakby niezbyt zadowoleni z dnia dzisiejszego, a nieuchronnie podążający ku końcowi stulecia, chcieli coś podsumować, rozliczyć, nazwać, ku czemuś zawrócić.

- Rany Boskie! Ilu z nas z tego filmu już odeszło! - Kuba zaczął wylizywać - Zbyszek Cybulski, Bobek Kobiela, Duduś Pawlikowski, Kasia Hodorowicz, no! Komeda oczywiście! Wiluś Mach, Basia Kwiatkowska, Staś Dygat!

- A Zbyszek Cybulski miałby dziś siedemdziesiąt lat, macie pojęcie? - Mietek Jahoda, jakby zapomniał o własnej przebytej drodze, powtarzał ze zdumieniem - macie pojęcie?

- A co się dzieje z Teresą Tuszyńską? - ktoś zapytał.

Nikt nie wiedział.

Za chwilę pojawił się Wojtek i zakomunikował, że jako weterani tamtych wspaniałych lat, mamy zająć miejsca w pierwszym rzędzie, w wiklinowych fotelach.

Obejrzałam sobie nas uważnie. No, owszem, tworzymy zgrabną, całkiem jeszcze niezłe się trzymającą grupkę, ale, co tu dużo gadać, istotnie weteranów. Chciało mi się zawołać do otaczającej nas jak powódź młodzieży:

- Gdybyście wiedzieli, jacy byliśmy piękni i wspaniali, kiedy mieliśmy dwadzieścia lat! - ale nikt na nas w ogóle nie zwracał uwagi.

Wielu z nich nie wiedziało nawet, kim jesteśmy.

Zajęliśmy miejsca w trzeszczących wiklinowych fotelach. Z głośnika usłyszeliśmy głos Zbyszka Cybulskiego:

- Zaczęło się to tak, jak zaczynają się tego rodzaju historie. Najzwyklej

na świecie - potem dał się słyszeć warkot nadjeżdżającego samochodu i dziewczyna o obcym, cudzoziemskim akcencie, zapytała:

- Przepraszam pana. Gdzie jest ulica Długa?

I zaczął się odwijać w naszej pamięci tamten czas, tamten Zbyszek, tamta Teresa, tamten Bim-Bom, tamten Gdańsk, tamta ulica Długa, tamta muzyka, tamte nasze losy. Raz jeszcze snuliśmy filmową historię o miłości, o marzeniach, niespełnieniach i nadziejach. Naszych własnych. Aż wreszcie zwyciężyła muzyka. Wszystkie sentymenty, rozdrapy i bolesne stwierdzenia: „to se ne wrati”, przestały mieć znaczenie. Słuchałam z uwagą świetnej muzyki Komedy, Abratowskiego, Hadena, Colemana, Legranda. Z estrady rządili moimi uczuciami cudownie grający muzycy: Biskupski, Bogdanowicz, Hołownia, Jagodziński, Karolak, Majewski, Woliński, młody saksofonista Mariusz Mielczarek, autor i pomysłodawca wieczoru.

Siedząc w nieznośnie trzeszczącym fotelu, zadałam sobie pytanie:

- Czy lubisz nadal tę muzykę? Muzykę z ludzkim głosem saksofonu, z miotkami szurającymi po naciągającym pęcherzu perkusji, z werbelkami młoteczków biegającymi pasażami po strunach fortepianu, z drażniącym zmysły rytmem kontrabas, z trąbką sięgającą swymi dźwiękami nieba? Czy to jest, jak dawniej, twoja muzyka?

Jazzu nigdy nie traktowałam jako muzyki łatwej, miłej i przyjemnej. Słuchałam go w latach pięćdziesiątych, nie jak „zgiełku”, lecz na równi z Mozartem, Beethovenem, Chopinem, Bachem. Ale wchodził w moje życie, w życie mojego pokolenia, nie frontowymi drzwiami, lecz tylnymi, jako rzecz zabroniona i ideologicznie zbrodnicza. Wszczął się w naszą wrażliwość, jak chrześcijaństwo w pierwszych wiekach, pod groźbą śmierci i palenia na stosie, tak w naszym wypadku pod groźbą wylania z uczelni, wilczego biletu, zniszczenia kariery. Pierwszych koncertów słuchałam w „katakumbach” prywatnych mieszkaniach i w ściszonej głośnikach naszych aparatów radiowych. Dziś wydaje się to nieprawdopodobne. Ale tak było. Mróz czasów stalinowskich zamrażał wszystko, co szło z Zachodu. Książki, filmy, muzykę. Dopiero po śmierci Stalina zaczęło tajać. Kiedy wybuchła radosna fanfara odwilży, wszczęliśmy dla jazzu oszaleli. Nawet zetempowcy. Jazz stał się dla mojego pokolenia symbolem odzyskiwanej wolności. „Melomani” - to nasi idole. Filmy „Niewinni czarodzieje” i „Do widzenia, do jutra”, to odbicie nas tamtych.

Otóż nie. Nic się nie zmieniło. Jestem nadal przywiązana do tej muzyki jak do żadnej innej. Wracam do niej i słucham tak, jak się słucha Bacha, Beethovena, Mozarta. Na równi z nimi stała się klasyka. Mogę jej słuchać zawsze i o każdej godzinie dnia i nocy. Napełnia mnie energią, optymizmem, miłością do ludzi i świata. Gdy słucham jej jadąc daleką drogą samochodem, daje mi pewność i wiarę, że szczęśliwie dojadę do celu. To jest ciągle moja muzyka. Przy niej się uczyłam, tańczyłam, kochałam, wchodziłam w życie. Dla niej ryzykowałam.

Kiedy po koncercie żegnałam się z moimi weteranami, jeden z nich powiedział:

- Wiesz? Jakbym był na stypie. Nie uważasz?

Nie. Nie uważam. Byłam na dobrym koncercie, dobrze zagrany. A że wplątały się w dźwięki instrumentów cienie naszych zmarłych? Mnie to nie przeszkadza. Może dlatego, że mam głębokie przekonanie o wartości przywiązania do wszystkiego, co mnie tworzyło i formowało.

Kupiłam płytę i schowałam ją do torebki. Żegnając się z Markiem Wojtulanisem, który wiele lat temu pod moją ręką zaczął pracę w teatrze, nagle przypomniałam sobie, że jego ojciec Mirosław był w szkole aktorskiej jednym z bliższych kumpli Zbyszka Cybulskiego. I tak jakoś samo mi się powiedziało:

- Do widzenia, do jutra.

A jutrem są chwała Bogu, i będą następne, najzwyklejsze w świecie historie zaczynające się od pytania:

- Przepraszam pana. Gdzie jest ulica Długa?

Tym historiom będą grały coraz to inne muzyki, rytmy i instrumenty. Bo wszystkim historiom miłosnym zawsze musi towarzyszyć muzyka. Bez niej miłość i pamięć o niej umarłyby.

Po przyjściu do domu nałożyłam płytę na dinks. W ciszy mojego domu przejmująco zabrzmiały słowa Młynarskiego napisane do muzyki Sojki:

*Starówką gnał od morza wiatr,
Ulicą Długą na Gdańsk popatrzeć wpadł*

.....
*Śpiewał cicho wiatr tak, tak! To tu!
Biegła twoja młodość do utraty tchu.
Na ulicy Długiej*

*Twoje piękne wczoraj zastąpiło i śpi,
Wczoraj, które było jutrem.....*

I teraz dopiero, w zupełnej samotności, zatęskniłam za Zbyszkiem i nami wszystkimimi. Do bólu.